

Wspomnienie o przyjacielu

Bardzo trudno pisać o swoim najbliższym przyjacielu, którego życie splatało się z moim przez kilka i to ważniejszych dla nas lat. Nawet jeśli zginął on 24 lata temu. Trudno, tym bardziej jeśli doskonale pamiętam jego dyskrecję. Dyskrecja ta była zresztą odpowiedzią na sytuację w jakiej żyliśmy. Była odpowiedzią na system, który usiłował jak najgłębiej ingerować w nasze prywatne życie. Podporządkować je sobie. Gdy więc przeglądam wiersze Staszka, które mają ukazać się w druku, a których on do druku nigdy by nie dopuścił, czuję się w sytuacji dwuznacznej. Tylko, że w sytuacji dwuznacznej czułem się również w maju 1977 roku, kiedy organizowaliśmy manifestacje żałobne po jego śmierci, a ja czułem, że ból po śmierci bliskiej osoby jest sprawą intymną. Tylko, że trzeba było wtedy robić manifestacje. Dziś trzeba opublikować księgę, w której znajdują się jego intymne wyznania. Stanisław Pyjas nigdy nie uważał się za poetę. Pisanie wierszy, może poza tymi najwcześniejszymi, było dla niego mniej więcej tym samym czym pisanie dziennika, próbą rozmowy ze sobą, próbą nazwania rzeczywistości i kontemplacji, która nie miała innego adresata niż autor. A przecież miał talent literacki, który przeziera nawet przez te opublikowane poniżej fragmenty. Teraz, kiedy strzępy tych notatek trafiają do czytelnika, myślę, mogą dać skrzywiony obraz ich autora. A jednak warto je opublikować, pozostawić jako znak niedokończonego projektu jakim było życie Pyjasa. Może jako zapowiedź tego co mógłby napisać.

Byliśmy wtedy bardzo młodzi i wszystko było dla nas możliwe, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że żyjemy w systemie, w którym nie jest możliwe nic. Staszek został zabity na trzy lata przed oczyszczającym zrywem Solidarności, który zapoczątkował upadek komunizmu. Jednak w nocy, kiedy został zamordowany, nic nie wskazywało jeszcze, że system ma runąć i nikomu nie śniło się, że może nastąpić to w ciągu najbliższych trzynastu lat. Wtedy system był szczelny i wszystkim wydawał się wiecznotrwały. Wprawdzie nie był już tak represywny, ale dlatego, że strach uwewnętrzzono został w Polakach głęboko. Kiedy już później, niedługo przed śmiercią Staszka, chodziliśmy zbierać podpisy pod listami protestacyjnymi, pierwszą barierą jaką musieliśmy przełamać, było przekonanie rozmówców, że nie jesteśmy prowokatorami. Bo skoro robimy coś „przeciw państwu”, a państwo nam na to pozwala... tzn. nie zamyka nas, ani nie zabija, to znaczy ma w tym interes. A interes może mieć tylko jeden: prowokację! I tak rzeczywiście wyglądała świadomość przeciętnego mieszkańca PRL – władza może wszystko. To dlatego nagi terror przestał być potrzebny. Chociaż jeśli trzeba było: jak na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku czy sześć lat później w Radomiu, władza pokazywała co potrafi. Epoka Gierka przedstawiana jest dziś jako oleodruk, sielski czas bytowania pod okiem dobrotliwego gospodarza. Czy śmierć Pyjasa mieści się w tym obrazie? Nie byliśmy zainteresowani polityką. Nie wiedząc o tym, byliśmy dziećmi swojego miejsca i czasu, a więc po prostu nie rozumieliśmy polityki. Nie wiedzieliśmy na przykład czym jest i czym może być demokracja. Nie wiedzieliśmy, my jako środowisko, jako pokolenie, czym jest ekonomia. Nie znaliśmy ani rozumieli wielu innych spraw. I nie wiedzieliśmy jak głęboko naznaczył nas komunizm. Politykę postrzegaliśmy więc jako coś brudnego i niehumanitarnego. Taka była ona zresztą w komunistycznym systemie. Nikt nie miał już wówczas żadnych złudzeń. Potwierdzają to dzisiaj paradoksalnie sami komuniści, zarzekając się, że komunistami nie byli nigdy, a do komunistycznej partii czy jej przybudówek trafili powodowani pragmatyzmem. To prawda. Ich pragmatyzm był niczym już nie maskowaną, nagą żądzą władzy. Władzy wbrew wszystkiemu: interesom narodu, poglądom ogółu obywateli, normom przyzwoitości i tym elementarnym funkcjonującym jeszcze publicznie wartościom. Żądza władzy kazała komunistycznym aparatczykom utrzymywać lokajską

postawę wobec tych wszystkich, którzy znajdowali się wyżej na drabinie partyjnej hierarchii. Służalczą postawą obowiązywała ich wszystkich niezależnie od piastowanej funkcji, aż po I Sekretarza w lokajskim ukłonie zgiętego przed mocodawcami z Moskwy. Bo system rekompensował serwilizm i dawał bezwzględność władzę wobec tych, którzy znajdowali się niżej i nad tą ogromną większością poza hierarchią aparatu. Taki system potrzebował szczególnych osobowości i rozwijał w nich te właśnie, szczególne cechy charakteru.

„Na gnojnym podglebiu
Czerwonych haseł
Wyrośło nowe bydło
o opastych mordach”

Pisał w jednym ze swoich wczesnych (nigdzie oczywiście nie drukowanych) wierszy Pyjas. Ten model polityki przekładał się na wszystkie stosunki społeczne. Układy w szkole, na uczelni, w pracy. Serwilizm, hipokryzja, cynizm. I bezradność każdego wobec dowolnej instytucji, która była państwem bo każda instytucja (poza Kościołem) była państwem. Zapomniany, wyparty ze świadomości społecznej porządek życia zbiorowego PRL. Nienawidziliśmy polityki, ale nie potrafiliśmy się od niej uwolnić. Czegokolwiek nie dotknęlibyśmy, wszędzie trafialiśmy na jej plugawy, komunistyczny kształt. Kiedy próbowaliśmy zajmować się literaturą, filozofią, teatrem, kinem. Wszędzie wyrastał mur cenzury, sączyło się obowiązkowe, urzędowe kłamstwo, wszędzie trzeba było płacić trybut łże-ideologii i zginać się w ukłonach przed jej cynicznymi funkcjonariuszami.

Stanisław Pyjas pochodził z Gilowic, wioski pod Żywcem. Był jednym ze zdolniejszych studentów. W 76 roku, kończąc polonistykę podjął równoległe studia na filozofii. Pracę dyplomową pisał o Brunonie Schulzu. Pracował nad porównaniem języka literatury i filozofii. Kiedy przeglądam strzępy jego notatek, które pozostały, orientuję się jak wiele zaginęło. Przypominam sobie fragmenty prozy, które mi czytał, a które nigdy potem się nie odnalazły. W PRL dusiliśmy się. Trzeba było nie mieć elementarnej wrażliwości, ani żadnych norm moralnych, aby czuć się w nim dobrze. Stanisław Pyjas był człowiekiem bardzo wrażliwym. Fascynowaliśmy się zachodnią kontestacją, bo wydawała się nam ona eksplozją wolności. Sporo czytaliśmy, oczywiście z tego co było dostępne. Zaczytywaliśmy się literaturą latynoską, bo wbrew temu co powtarza się dzisiaj było tam również wiele świetnej literatury: Octavio Paz; Borges, Carpentier, Marquez, również (nierówny –co wiem dzisiaj) Cortazar. Ale czytaliśmy także Eliota i Dylana Thomasa, Lowrego i Faulknera, czytaliśmy Konwického i Wojaczka, Herberta i Barańczaka. A także Eliadego i Junga, Nietzschego, Husserla i Wittgensteina, Levi –Straussa i semiotyków rosyjskich. Poszukiwaliśmy autentycznych przejawów sztuki. Fascynowaliśmy się teatrem Grotowskiego. Autostopem jeździliśmy do Wrocławia na przedstawienia „Apocalipsis cum figuris”. Potem Staszek uczestniczył nawet w „Święcie”, specyficznym projekcie parateatralnym przygotowanym przez Grotowskiego. Pierwszym z serii tego typu przedsięwzięć Mistrza z Wrocławia. Doświadczenie to zrobiło na Staszku wielkie wrażenie, ale oceniał, że była to droga, którą, wbrew oczekiwaniom twórcy, pójść dalej nie można. W ogóle poruszaliśmy się dużo, podróżowali choć prawie wyłącznie autostopem. Na nic innego nie mieliśmy pieniędzy. Dorabialiśmy dorywczymi pracami fizycznymi, ale środków do życia brakowało ciągle. Podróżowaliśmy prawie wyłącznie po Polsce. Tylko w lecie 76 roku udało się Staszкови i mnie wyjechać autostopem na Bałkany: Czechosłowacja, Węgry, Rumunia, Bułgaria. Na Jugosławię nie mieliśmy już dokumentów. Sporo przeszliśmy na piechotę w ciągu tych dwóch miesięcy. Pływaliśmy po Morzu Czarnym, włączyliśmy się po Karpatach Fagaraszi, po Rodopach i Rila. Oglądaliśmy cerkwie, inną chrześcijańską tradycję. Autostopem jeździliśmy na Festiwalu Teatru Otwartego

do Wrocławia. Na Jazz Jambory do Warszawy. Jazzu słuchaliśmy bardzo dużo. Jeździliśmy po Polsce oglądać co ciekawsze wystawy. Wszystkie filmy, które były w Polsce, można było zobaczyć w Krakowie. Najważniejsi byli wtedy Włosi: Felinii, Antonionii, ale także Wajda. Ciągłe zastanawialiśmy się jak wyrazić swoją niezgodę i sprzeciw. Nie tyle nawet zmienić system, w to nie wierzyliśmy, zmianą wydawał się nam już sprzeciw. Należało tylko znaleźć dla niego formę, aby dotrzeć do innych. A wszystko to wchodziło w kolizję z naszą najgłębszą postawą. Bo byliśmy indywidualistami. Na pewno była to również reakcja na rzeczywistość. Kolektywizm naszego świata. Jednak chyba nie wyłącznie. Wynikało to z głębszych pokładów temperamentu i postaw.

Na polonistyce stworzyliśmy nieformalny (a więc nielegalny) klub dyskusyjny, w którym, w gronie kilku osób spotykaliśmy się w prywatnych mieszkaniach. Zdobyliśmy kilka książek (nielegalnych oczywiście) paryskiej Kultury, które wymienialiśmy między sobą i rozmawialiśmy również na ich temat. Zastanawialiśmy się nad stworzeniem podziemnego pisma. To wystarczyło, aby SB dobrało się do nas. Rewizje, przesłuchania, areszt, groźby. Byliśmy sami i wiedzieliśmy, że ubecy mogą zrobić z nami wszystko. Na przesłuchaniach próbowaliśmy zachowywać się przyzwoicie. Jednak tylko Staszek odmówił odpowiedzi, nie wiedząc (nikt wtedy o tym nie wiedział), że łaskawe prawo PRL umożliwia mu to. -Co? Wstydzi się pan? -zapytał przesłuchujący ubek -Tak, wstydzę się, że moje zeznania mogą znaleźć się w takim miejscu. Brzozowski raz coś chlapanął Ochranie i już 100 lat ciągną go za to. Ja muszę dbać o biografię. Śmiałem się, kiedy mi to relacjonował. Nadszedł czerwiec 76 roku. Demonstracje w Ursusie i Radomiu. A potem stadiony wypełnione spędzonymi tam tłumami, które skandują „Precz z warchołami” i potępiają ludzi, którzy zrobili to, na co oni sami nie mieli odwagi. W tym samym czasie, w miastach, które odważyły się zaprotestować, milicja organizuje „ścieżki zdrowia”. Dwuzereg funkcjonariuszy pastwi się nad zatrzymanymi. Wielu nigdy już nie doszło do siebie. Funkcjonariusze łamią przesłuchiwanym kości, wybijają zęby, wrywają włosy, głowami o blat biurka wybijają melodię Międzynarodówki. Padają wyroki. Wieloletnie wyroki na przypadkowe ofiary. Chodzi przecież o zastraszanie. Z Wolnej Europy dowiedzieliśmy się o powstaniu Komitetu Obrony Robotników. Zbieraliśmy pieniądze na pomoc i przekazywaliśmy do Warszawy. Było nas już więcej. Poznaliśmy innych, którzy również postanowili zaprotestować. W tym samym czasie dyscyplinarnie wyrzucone mnie ze studiów. Na piątym, ostatnim roku, właściwie po ich zakończeniu. To Staszek był pomysłodawcą i redaktorem listu protestacyjnego w tej sprawie. Bardzo ostrego listu, bo nie liczyliśmy na niewiele podpisów i chodziło raczej o upublicznienie naszej postawy. I to głównie Staszek podpisy zbierał. Podpisał prawie cały rok (blisko sto osób). W martwej ciszy tamtego czasu i przy oficjalnym rytuale ideologicznym, manifestacja taka miała znaczenie. Zostałem natychmiast przywrócony na studia (potem zawieszony). Przepisywaliśmy komunikaty KOR i próbowaliśmy kolportować je jak najszerzej. Informowaliśmy ludzi. Tłumaczyliśmy wszystkim, którzy chcieli i nie chcieli słuchać (a tych drugich było znacznie więcej), że nie możemy być bezczynni. Ze zdumieniem orientowaliśmy się, że nie mamy już prawie na nic czasu, a ta, tak ograniczona przecież, działalność pochłania nas bez reszty. Problemem stawało się wyrwanie momentu na lekturę. Zastanawialiśmy się jak długo można to ciągnąć. Przecież nie to miało być główną treścią naszego życia. Rozmawiałem o tym ze Staszkiem. I robiliśmy to samo dalej. Zdecydowaliśmy się zbierać podpisy pod listem do Sejmu z protestem przeciwko terrorowi wymierzonemu w niewinnych ludzi. To był jakościowy skok. Wprawdzie trzymaliśmy się form, które podobno przysługiwały nam w PRL, ale nikt w Polsce nie traktował ich poważnie. Po raz pierwszy wystąpiliśmy tak jawnie. Chodziliśmy po akademikach i uczelniach. Opowiadaliśmy,

tłumaczyli, przekonywali. Sprawy zakryte stawały się jawne. Poznawaliśmy nowych ludzi i nawiązywaliśmy nowe stosunki. Mieliśmy nadzieję na 100 podpisów. Zebraliśmy 517. Coś zaczynało się zmieniać. Anonimy przychodziły już wcześniej. Oskarżały o współpracę, defraudację, alkoholizm. Sypały obelgami i groziły. Tym razem oskarżały Staszka, a oprócz niego przyszły do czterech (o tylu wiedzieliśmy) osób. I jeśli można to stopniować, były wyjątkowo plugawe. W potok rysztokowych bluzgów i gróźb wpisana była doskonała wiedza o wielu naszych osobistych sprawach. Ta wiedza świadczyła, że ktoś obserwuje nas z bardzo bliska i była czymś naprawdę nieprzyjemnym. To chyba Staszek wpadł na pomysł, że raz jeszcze można wykorzystać nasz „legalizm” i odwołać się do prawa, które przecież obiecywało nam obronę.

Wróciłem po parodniowym wyjeździe i wszedłem do domu wcześniej rano, nieomal razem z ubekami, którzy przetrząsali wszystko. W kocioł wpadł Staszek, który przyszedł niewiele po mnie. Przyzwyczajony do tłumów nieznanym, którzy prędko by nimi przestawali, wyciągnął do pierwszego rękę. Ubek wyjął legitymację. Wypuścili nas stosunkowo szybko. Staszek poszedł z naszym przyjacielem -prawnikiem skargę i fotokopie anonimów do prokuratury.

—Czy panowie liczą na załatwienie tej sprawy? -zapytała sekretarka z uśmiechem.

Nie umawialiśmy się. Wiedzieliśmy, że zobaczymy się następnego dnia. Był 5 maj. Po raz ostatni widziałem go wtedy żywego.

7-mego maja po południu ktoś zaczął wściekle łomotać do moich drzwi. Przyjaciele z akademika. —Ubecja zabiła Staszka —to były ich pierwsze słowa. Znalaziono go nad ranem. Ich zdążono już przesłuchać..

Wiedziałem, że zwłoki powinny być jeszcze w prosektorium. Poszedłem tam z parą przyjaciół. Ubecy byli zbyt pewni siebie. Nie przyszło im do głowy, że ktoś mógłby odważyć się wejść do prosektorium, gdzie nie wolno było wpuszczać osób postronnych. Dopiero potem podjęli specjalne środki ochronne. Powiedziałem, że jestem krewnym i dałem cieciewi w łapę stówę. Było to wtedy nieco więcej niż pół litra. Wydobył szufladę, gdzie leżały zwłoki. Wtedy uwierzyłem, że Staszek nie żyje. Twarz była zmasakrowana. Szczególnie lewa strona. Zwykle tak bywa. Normalnie najsilniejsze są ciosy prawą ręką. Siniaki, wybroczyny, rozbity usta i łuk brwiowy. W brwi otwarta rana jak po uderzeniu kastetem. Jeśli ktoś z nas miałby wątpliwości kto to zrobił, straciłby je w trakcie „śledztwa”. Przesłuchania miały zrekonstruować naszą działalność, a także zmusić nas, abyśmy przyjęli ich wersję —wypadku. Abyśmy podpisali to. Sugerowano, że to my maczaliśmy ręce w śmierci Staszka. Kiedy zastanawiałem się później, myślałem także o scenariuszu prowokacji. Zbyt często pojawiał się wówczas ten wątek u ubeków, dziennikarzy, nawet zwykłych ludzi. Po manifestacjach odwiedzili mnie dwaj stołeczni dziennikarze. Bardzo żałuję, że nie zanotowałem nazwisk. Stosunkowo młodzi przedstawiciele elity tamtego świata. Pewni siebie, aroganccy i nawet elokwentni. Jeden z „Trybuny”, drugi -chyba „Życia Warszawy”. Rozmawiałem z nimi gdyż przyjęliśmy, że traktujemy serio nasze instytucje, choćby były swoją karykaturą. -Naczytało się kodeksu Nieczajewa? —nagle, ironicznie zapytał jeden. Byłem zdumiony. Skąd ten gnojek słyszał o Nieczajewie, rosyjskim nihilście, który stwarzając tajną organizację postanowił scementować ją zabójstwem jednego z jej członków pod pretekstem jego zdrady. Był pierwowzorem postaci Wierchowienieńskiego z „Biesów”. To, że „dziennikarzy” do tego typu rozmowy przygotowało SB było dla mnie jasne. W tym wypadku jednak było to coś więcej. Jacyś esbecy stratedzy przygotowali całą strategię i nawet jej literacki kontekst.

Śledztwo rozpoczęło się dopiero po juwenaliach, które udało się nam przekształcić w żałobę po Staszku. To, że przeprowadziliśmy kilka wielotysięcznych manifestacji, zdziwiło także nas.

Jeszcze bardziej dziwiło nas to, że nie trafiliśmy za to do więzienia. Być może dlatego, że Staszek zginął. Ostatni, na kilka godzin przed śmiercią, widział Pyjasa jego kolega ze szkoły i nasz znajomy z akademika, Stanisław Pietraszko. Zauważył, że ktoś szedł za Staszkiem, „jakby go eskortował”. Według jego zeznań sporządzono portret pamięciowy nieznanego. Niewiele potem Pietraszko poznał dziewczynę, która zaprosiła go nad Zalew Soliński. Kiedy przyjechał, nie znalazł jej. Wyszedł z namiotu, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Jego ciało w kąpielówkach i czepku znaleziono pływające po powierzchni Zalewu (charakterystyczne w wypadku wrzucenia do wody zwłok). Pietraszko cierpiał na alergię wywołującą wodowstręt. Nie pływał. Jego śmierć nastąpiła dwa miesiące po śmierci Pyjasa.

W 1991 roku, nowa komisja, na podstawie danych sprzed czternastu lat stwierdziła, że śmierć Stanisława Pyjasa nastąpiła na skutek pobicia, a zwłoki zostały najprawdopodobniej podrzucone do bramy na ulicy Szewskiej. Wiele lat trwały boje z nowymi władzami MSW, które nie chciały udostępnić prokuraturze dokumentów resortu w tej sprawie. Dopiero w 2000 roku kilku funkcjonariuszom SB postawiono zarzut świadomego sprowadzenia na fałszywe tory śledztwa, za które byli służbowo odpowiedzialni. Byliśmy wtedy bardzo młodzi i wszystko wydawało się przed nami. Po Staszku zostało nieco wierszy i trochę rozpoczętych rękopisów, których już nie dokończy. Dopiero po jego śmierci przypomniałem sobie, że wspominał mi, nadmieniał, mówił coś co zinterpretować można było jak przygotowanie do zasadniczej przemiany. Prawdopodobnie chodziło o to, że po napisaniu zaawansowanej już pracy magisterskiej chciał zabrać się za jakieś poważniejsze projekty. To jednak był tylko zewnętrzny wyraz jego głębszych postanowień. Mówił mi, oczywiście nie do końca serio, że musi się śpieszyć: Cyganka wyrzuciła mu, że przeżyje tylko 33 lat. Wspominał o tym kilka razy. Ostatni raz chyba na pętli tramwajowej w Prokocimiu. Myśleliśmy wtedy wagony na pobliskiej stacji. Po robocie czekaliśmy na tramwaj. Była wiosna, jeszcze dzień i dookoła biało zielone brzozy. Staszek palił papierosa i mówił odwrócony do połowy w kierunku drzew. Na 28 dni przed śmiercią w swoim notatniku napisał: „Czasami już widzę siebie o kilka lat później, siedzącego w jakiejś kawiarence na rogu dwóch małych uliczek jednego z wielu miast na świecie, pijącego kawę i myślącego o sobie, o ludziach, z którymi jestem teraz, o tej obecnej rzeczywistości złożonej z przedśmiertnego strachu, nieudanych znajomości, fatalnych kontaktów erotycznych, sympatii, nadziei na przełamanie muru samotności, o śmierdzącej, źle przyrządzonej porcji flaków i z wielu innych rzeczy (jak to łatwo napisać: „z wielu innych rzeczy”). Widzę siebie oddalonego setkami kilometrów czasu, spoglądającego na tego, który to teraz pisze, który nie wie dlaczego ludzie są tak śmiertelnie zmęczeni, że płaczą, kiedy zbyt dużo wypiją, albo we śnie, w którym mogą zrezygnować z ostatnich więzów samodyscypliny.”

Nie dokończył żadnej ze swoich rzeczy, choć może był najzdolniejszy z nas wszystkich. Zmienialiśmy się. Zaczynaliśmy rozumieć wiele rzeczy, o których wcześniej nie mieliśmy pojęcia. Dojrzewaliśmy. I traciliśmy wiele z tego, co pozwalało nam zaangażować się wcześniej. Przeżywaliśmy wielką euforię historii, która obdarowała nas wolnością, a potem jej już zwyklesze rozczarowania; rozczarowania normalności. On nie miał już tej szansy, ani nie został wystawiony na to odmienne ryzyko. Został w tamtym czasie.

Wielokrotnie, później, siedząc w kawiarniach na rogu uliczek wielu miast świata, miałem uczucie, że zajmuję miejsce Staszka. Myślę, że odczuwałem to nie tylko ja. Może mogliśmy siedzieć tam dzięki niemu.

Bronisław Wildstein

